



Emil Zola

**ZGON
OLIWIERA
BECAILLE**

Armoryka

Emil Zola

**ZGON OLWIERA BECAILLE
i inne opowiadania**

Emil Zola

ZGON OLIWIERA BECAILLE

i inne opowiadania

przełożył Zygmunt Niedźwiecki.

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Włóczysław (Włóczek) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-038-3

ZGON OLWIERA BECAILLE

I.

Umarłem w sobotę o godzinie szóstej z rana, po trzydniowej chorobie. Biedna moja żona szukała czegoś od dłuższej chwili w kufrze z bielizną. Gdy się podniosła i zobaczyła, że leżę z otwartymi oczyma, bez tchu, zeszywniały, podbiegła, myśląc, że to zemdenie, i nachyliwszy się nad moją twarzą, dotknęła moich rąk. Naraz strach ją ogarnął i tracąc głowę, jęknęła z łez wybuchem:

— Boże mój, Boże!... Umarł!... Słyszałem wszystko najwyraźniej, tyle tylko, że stłumione dźwięki zdawały się mnie dołatywać jakby gdzieś z bardzo daleka. Jedynie lewym okiem mogłem jeszcze podchwycić blask niewyraźny, bladawe światło, w którym roztapiały się kształty przedmiotów, prawe me oko było zupełnie bezwładne. Było to omdlenie całego organizmu, jakby od porażenia piorunem. Wola ma zastygła, wszystkie fibry ciała wypowiedziały posłuszeństwo. W unicestwieniu tym prawie całej mojej istoty fizycznej jedna tylko myśl żyła jeszcze, snując się wolno i leniwie, choć z nieskazitelną wyrazistością.

Moja biedna Małgorzata, padłszy na kolana przy łóżku, powtarzała raz po raz rozdzierającym głosem:

— Nie żyje!... Boże mój!... Nie żyje!...

Byłże śmiercią w rzeczy samej ten stan dziwnego zdrętwienia, to pogrążenie ciała w bezruchu, gdy równocześnie inteligencja nie przestawała ani na chwilę funkcjonować?!... A może dusza moja opóźniała się tylko w głębi czaszki, zanim i ona uleci. Podobne kryzysy nerwów nawiedzały mnie od dzieciństwa. Dwukrotnie, kiedy byłem jeszcze całkiem mały, napady ostrej gorączki omal nie pozbawiły mnie życia. Toteż otoczenie moje przyzwyczało się uważać mnie za dziecko słabowite i ja sam wyperswadowałem Małgorzacie sprowadzenie lekarza, kiedy się uczułem zmuszonym położyć do łóżka zaraz z rana po naszym przyjeździe do Paryża, do tego hotelu przy ulicy Dauphine. Trochę odpoczynku wystarczy; to znużenie podróży dało mi się nieco we znaki. Byłem jednakże pełen obaw. Opuściliśmy bowiem całkiem niespodzianie prowincję, z bardzo szczupłymi środkami, mając zaledwie o czym doczekać mej pierwszej pensji za miesiąc w biurze, w którym otrzymałem miejsce. I oto nagły kryzys zabrał mnie ze świata.

Byłaż to śmierć naprawdę?... Wyobrażałem ją sobie w postaci nocy czarniejszej, głębszego, niżeli to, milczenia. Już od lat dziecięcych śmierć przejmowała mnie zawsze szczególnym strachem. Ponieważ byłem wątły i ludzie mnie pieścili z jakimś odcieniem litości, myślałem więc ciągle, że długo nie pożyję i że wcześniej od niejednego powędruję na tamten świat. Nie byłem też nigdy w stanie oswoić się z lękiem, jakim mnie przejmowała myśl o znalezieniu się w ziemi, chociaż myśl o tym nie opuszczała mnie w dzień ani w nocy. Wzrosłem z tą ideą fixe. Niekiedy, po kilku dniach rozmyślań, здавало mi się, że przemogłem mą trwogę. Więc cóż stąd?...

Umrze człowiek i skończona historia. Wszyscy przecie w końcu umrzeć muszą i trudno sobie nawet wystawić urządzenie dogodniejsze i lepsze. Poweselałem niemal, doszedł-

szy do tej konkluzji, dzięki której mogłem odtąd śmierci spoglądać prosto w twarz. Wtem nagły dreszcz mnie mroził, zapędzając na powrót w jarzmo opętania, jakbym porwany ręką olbrzyma, zawisł nad czarną otchłanią.

Przerażająca myśl o grobie wracała, obalając wszelkie rozumowania. Ileż to razy nocą, zbudziwszy się nagle, zrywałem się, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za tajemniczy podmuch przeleciał we śnie nade mną, łamiąc rozpaczliwie ręce i jęcząc: „Boże mój! Boże!... Więc muszę umrzeć?!...” Trwoga przytłaczała mi kamieniem piersi, a nieuchronna konieczność zgonu nabierała jeszcze więcej ohydy w zamęcie ocknienia. Z trudem jedynie udawało mi się na powrót zasnąć, bo i sen przejmował mnie lękiem przez podobieństwo swoje do śmierci. Jeżeli zasnę kiedy na wieki?...

Jeżeli, zamknąwszy oczy, nie otworzę ich już więcej?...

Nie wiem, czy inni ludzie przechodzą kiedy także podobne męki. Mnie one zatruwały życie. Pomiedzy mną, a wszystkim co kochałem, stała bez przerwy śmierć. Pamiętam chwile największego szczęścia, spędzone z Małgorzatą. Gdy w pierwszych miesiącach naszego pożycia spoczywała u mego boku uśpiona i kiedym, myśląc o niej, puszczał wodze rojeniom o przyszłości, zawsze obawa fatalnego rozstania mąciła moje szczęście, burzyła wszelka nadzieję. Będziemy się musieli rozstać może już jutro? Za godzinę może... I ogarniało mnie niezmiernie zniechęcenie, w którym zapytywałem sam siebie, na co ten raj wspólnego życia, skoro musi się on kiedyś zakończyć rozbratem tak okrutnym?... Imaginacja moja poczęła się lubować w żalobnych obrazach. Kto też z nas pierwszy umrze?... ja, czy ona?... I obie alternatywy łyzy wyciskały z mych oczu, roztaczając przede mną dalsze obrazy naszych zwichniętych istnień. W najszczęśliwszych okresach mego życia miewałem z tego powodu napady nagłej melancholii, których ludzie nie mogli zrozumieć. Dziwili się wszyscy na widok mojej ponurej miny w chwilach, kiedy mnie spotkało coś przyjemnego. Powodom zaś tego była myśl o nicości, co nagle

przemknęła przez mą radość. Straszliwe „po co?” dźwięczało bez ustanku, jak dzwon pogrzebowy, w moich uszach. Co jednak w podobnych udręczeniach jest najprzykrzejszym, to, że się z nimi człowiek porać musi w zawstydzającej tajemnicy, nie mając odwagi nikomu wyznać swojej męki. Nieraz z pewnością i męża i żonę, gdy zgasiwszy światło, spoczywają przy sobie, przejmie ten sam dreszcz, lecz ani jedno ni drugie nie wspomni o tym, ponieważ człowiek nie lubi mówić o śmierci, tak samo, jak nie wygłasza pewnych słów sprośnych. Wzbudza ona w nas taki strach, że nawet nie wspominamy jej imienia, kryjąc ją jak się ukrywa swą pleć.

Rozmyślałem obecnie nad tymi wszystkimi rzeczami, a moja droga Małgorzata nie przestawała ani na chwilę szlochać. Męczyło mnie to straszliwie, że nie mogę ukoić jej żalu, ani jej dać do poznania, że nie doświadczam żadnych fizycznych cierpień. Jeśliby śmierć nie miała być w rzeczy samej niczym więcej nad to omdlenie ciała, nie miałem doprawdy racji tak się jej bać całe życie. Stan to był pełen jakiejś samolubnej błogości i pokoju, wolny od wszelkiej troski. Nad wszystkimi innymi władzami mej duszy pamięć moja nabrała największej żywości. Błyskawicznie poczęła się przede mną przesuwąć cała moja egzystencja, niby widowisko, któremu się przypatrywałem oczyma obcymi. Dziwny ten i ciekawy stan bawił mnie. Rzekłbyś: głos daleki opowiada ci własne twoje dzieje.

Nawinęło mi się między innymi wspomnienie pewnego zakątka wiejskiego w pobliżu Gyérande, na drodze z Piriac: lassek sosnowy, spuszczaający się na skrócie drogi bezładnie po stokach skał. Mając lat siedem, chodziłem tam często z moim ojcem do wpółzwalonego domu, gdzieśmy się posilali należnikami rodziców Małgorzaty, solarzy, utrzymujących się z ciężką biedą z pobliskich żup. Potem przypomniało mi się kolegium w Nantes, gdzie wzrosłem w nudzie starych murów, wśród ustawicznej tęsknoty za rozległym widnokregiem Guérande, za słonymi bagnami, ciągnącymi się jak okiem się-

gnął pod miastem, i za bezbrzeżnym morzem, rozelanym w płaszczyznę bez końca u stóp niebios.

W tym miejscu czarna jama przerywała tok moich wspomnień: mój ojciec zmarł. Dostawszy w administracji szpitala posadę urzędnika, rozpocząłem teraz monotony żywot, którego jedyne jasne chwile przypadały w niedzielę, w godzinach odwiedzin starego domostwa w Piriac. Interesy szły tam coraz gorzej, żupy solne przestały w końcu prawie zupełnie nieść dochód, okolica popadała w coraz straszniejszą nędzę. Małgorzata była wtenczas jeszcze dzieckiem. Lubiła mnie bardzo, ponieważ wozilem ją zawsze na taczkach. W kilka lat potem jednak, w dniu, w którym ją poprosilem o jej rękę, ruch przełknięcia, jakim przyjęła te oświadczenia, powinien mnie być oświecić, że się jej wydawałem wstrętnym. Rodzice wszakże oddali mi ją bez wahania, gdyż uwalniało ich to od kłopotów. Przez dziecięcą uległość nie sprzeciwiła się ich woli, a oswoiwszy się raz z myślą wyjścia za mnie, zdaje się, że przestała się tym nawet martwić. W dniu naszego ślubu w Guérande lało, pamiętam, jak z cebra, tak, że za powrotem do domu Małgorzata musiała zamienić ślubną toaletę na zwykłą sukienkę, tak zmokła.

Oto cała ma młodość. Czas jakiś żyliśmy w tamtych stronach. Raz jednak, wróciwszy z biura do domu, przyłapałem mą żonę na rzewnym płaczu. Nudziło jej się tam, chciała, abyśmy się przenieśli gdzie indziej. W pół roku zaoszczędziłem po groszu niewielką kwotę przy pomocy prac nadobowiązkowych. Ponieważ jeden z dawnych przyjaciół mej rodziny zajął się wyszukaniem mi miejsca w Paryżu, zawiozłem tam drogą dziecinę moją, by więcej nie miała powodu do płaczu. W pociągu kolejowym śmiała się już. Za nadejściem nocy wziąłem ją na kolana, aby jej było miękko spać, bo ławki w trzeciej klasie są twarde!

Wszystko to należało obecnie do przeszłości. W tej chwili bowiem byłem już oto tylko nieboszczykiem, zmarłym w ciasnym hotelowym łóżku, podczas kiedy ma żona, ukląkłszy na

podłodze, biadała nad moją śmiercią wśród lkań. Biała plama, którą dostrzegąło lewe moje oko, bladła stopniowo; pamiętałem jednak dokładnie rozkład pokoju: po lewej komoda, po prawej kominek, na środku którego rozbity zegar bez wahadła wskazywał godzinę dziesiątą minut sześć. Okno wychodziło na ulicę Dauphiné, głęboką i czarną. Cały Paryż przewalał się na nią i to wśród takiego zgiełku, żem słyszał, jak od niego szyby brzęczą.

Nie znaleźliśmy w Paryżu oboje ani żywej duszy. Ponieważ przyspieszyliśmy nasz przyjazd, oczekiwano mnie więc w moim biurze dopiero w najbliższy poniedziałek. Odkąd leżałem w łóżku, szczególne wrażenie wzbudzało we mnie to uwięzienie w nieznanym pokoju, do którego wtrąciła nas podróż, oszołomionych jeszcze piętnastoma godzinami jazdy kolejowej, otumanionych zgiełkiem ulicznym. Żona moja pielęgnowała mnie z tym samym co zawsze uśmiechem dobroci; czułem jednak aż nazbyt dobrze, jak bardzo musiała być strokana. Od czasu do czasu podchodziła ku oknu, aby wyrzucić na ulicę, po czym wracała wybladła, przerażona ogromem tego Paryża, w którym nie znała ani jednej cegielki, a który huczał dokoła nas tak straszliwie. Co ona pocznie, jeśli się nie obudzę?... Co się z nią stanie w tym olbrzymim mieście, samą, bez żadnej opieki, nieświadomą niczego?...

Ujawszy jedną z rąk moich, bezwładnie z brzegu łóżka zwiśla, poczęła ją całować, powtarzając jakby w obłądnie:

— Oliwierze!... Odezwiżę się!... Mój Boże!... Umarł!... umarł!...

Jednakże śmierć nie jest nicością zupełną, pomyślałem, skoro byłem w stanie słyszeć i rozumować. A tylko nicość przerażała mnie od dzieciństwa. Nie byłem nigdy w stanie wyobrazić sobie całkowite zniknięcie mego ja, kompletne unicestwienie tego, czym jestem, i to na zawsze, na wieki wieków, z wykluczeniem powtórnej kiedykolwiek egzystencji. Dreszcz mnie nieraz przebiegał, kiedym napotkał w jakiej gazecie jedną z dat przyszłych najbliższego stulecia i pomyślał:

Nie będzie mnie już z pewnością podówczas przy życiu; a ów rok przyszłości, której nie obaczę, w której nie będę już istniał, ranił mnie w samo serce. Czemuż nie jestem światem całym!... i czemu nie runie wszystko po moim odejściu! Śnić o życiu, spoczywając w uścisku śmierci, oto czego się zawsze spodziewałem. Ale stan, w jakim się znajdowałem obecnie, nie był przecie śmiercią. Przebudzę się z niego z pewnością lada chwila. Tak jest, tylko patrzeć, jak się podniosę na moim posłaniu i ściskając w ramionach Małgorzatę, otrę jej łzy. Jakże to będzie radość odzyskać się wzajem i o ileż silniej będziem się potem kochać!... Odpocznę jeszcze ze dwa dni, a potem pójdę do biura. Nowe życie potoczy się ku nam, szersze, szczęśliwsze. Lecz mi się z tym nie spieszyło. Zbyt byłem na razie przygnębiony. Małgorzata źle jednak czyniła, oddając się takiej rozpacz, dlatego tylko, że nie mam dość sił, by zwrócić do niej na poduszce głowę i uśmiechnąć się. Jeżeli się odezwie raz jeszcze: — „Umarł! o Boże mój! umarł!..” — przytulę ją do siebie i aby jej nie przestraszać, szepnę jej w uszko cichutko:

— Ależ nie, moje dziecko, ja tylko spałem. Widzisz przecie, że żyję i że cię kocham jak dawniej.

II.

Na nieustanny płacz Małgorzaty drzwi się naraz roztwarły i jakiś głos zawołał:

— Cóż się takiego stało, pani sąsiadko?... Pewnie nowy kryzys!... Czy zgadłam?

Poznałem głos. Należał on do pani Gabin, niemłodej już kobiety, mieszkającej obok nas. Okazywała nam ona dużo uprzejmości od samego przyjazdu, wzruszona naszym położeniem. Opowiedziała nam zaraz całą swoją historię: nieużyty właściciel domu sprzedał jej meble tamtej zimy i odtąd mieszkała w hotelu razem z dziesięcioletnią córeczką Adelą.

Wycinały obydwie abażury, zarabiając do czterdziestu sou dziennie na tej robocie, i z tego żyły.

— Boże! spytała naraz zmienionym głosem — czyżby to już było po wszystkim?...

Domyśliłem się, że się musiała do łóżka przybliżyć. Popatrzywszy zapewne na mnie, dotknąwszy mnie, dodała z współczuciem:

— Moje biedne dziecko!... moje biedne!... Małgorzata wyczerpana, szlochala istotnie jak dziecię. Pani Grabin podniosła ją więc i posadziła w kulawym fotelu, stojącym obok kominka, po czym jak tylko mogła, próbowała ją tulić i pocieszać.

— Kiedy bo naprawdę... zaszkodzi pani sobie... Dlatego, że mąż umarł, nie potrzebuje pani przecie samą siebie także uśmiercać... Prawda!... straciwszy mego Gabina, desperowałam tak samo jak pani, trzy dni nie wzięłam nic w usta!... Lecz czy mi to co pomogło?... Przeciwnie, zwiększało tylko mój ból... Ależ na miłość boską!... bądźże pani rozsądną!...

Małgorzata poczęła się z wolna uspokajać, aż i ucichła. Była bez sił. Od czasu do czasu jednak porywał ją nowy paroksyzm łez. Tymczasem staruszka zaokupowała pokój z gderliwą obcesowością.

— Nie potrzebuje się pani o nic troszczyć... — powtarzała w kółko. — Moja Dédé wróci niebawem, poszła właśnie po robotę... A potem sąsiedzi powinni się wzajemnie wspomagać... Czy pani już swoje kufry ze wszystkim rozpakowała?... Ale jakaś bielizna będzie jeszcze w komodzie?...

Usłyszałem, jak otwarta szufladę. Musiała wyjąć serwetę, którą przykryła nactkastlik, czyli nocny stolik. Następnie usłyszałem pocieranie zapalki, co mnie naprowadziło na myśl, że zapala przy moim łóżku, w braku woskowej, świecę z kominka. Towarzyszyłem słuchem i myślą każdemu jej poruszeniu i zdawałem sobie sprawę z każdej jej czynności.

— Biedny pan! — lamentowała. — Ale to szczęście, że usłyszała pani płacz, kochana pani.

Naraz niewyraźne światelko, jakie dostrzegalem jeszcze do tej chwili lewym mem okiem — znikło. To pani Gabin zawarła mi powieki. Nie czulem jednak dotknięcia jej palców. Kiedym sobie z tych szczegółów zdał sprawę, zaczął mnie przejmować lekki mróz.

Wtem drzwi się otwarły i dziesięcioletnia psotnica Dédé wpadła, krzycząc fletowym głosem:

— Mamo! Mamusiu!... Ach! ja wiedziałam, że mama jest tu... Masz! oto rachunek: trzy franki cztery sous... Przynoszę dwadzieścia tuzinów abażurów...

— Pst!... cicho!... — uciszała ją matka daremnie.

A ponieważ bęben nie przestawał świergotać, wskazała jej zapewne moje łóżko. Wówczas Dédé umilkła. Odczulem jej przestrach; domyśliłem się, że cofa się pewno ku drzwiom.

— Czy pan śpi? — zapytała cichutko.

— Tak jest, idź się bawić — odpowiedziała pani Gabin.

Lecz dziecię pozostało w pokoju. Patrzyła pewno na mnie wytrzeszczonymi oczyma, przelękła, domyślając się, jak przez mgłę. Wtem strach szalony musiał ją ogarnąć, bo obalając krzesło po drodze — uciekła z krzykiem:

— Mamo!... Pan umarł, mamo!...

Nastala głęboka cisza. Małgorzata przestała płakać, nie opuszczając fotelu. Pani Gabin kręciła się ciągle z kąta w kąt.

Poczęła wreszcie znowu pod nosem trąkotać:

— Przed okiem dzisiejszych dzieci niczego nie ukryjesz... Na przykład moja mała. Bóg jeden widzi, że chowam ją jak najlepiej. Kiedy idzie za jakim sprawunkiem albo kiedy ją pośle z robotą, minuty liczę, aby mieć pewność, że ani przez chwilę nie zbijała bąków... Ale co to znaczy, kiedy ona i tak rozumie wszystko... dosyć jej rzucić okiem i już wie... jak teraz... A przecież raz tylko w życiu widziała nieboszczyka wuja Franciszka, w czasach kiedy miała dopiero nie całe cztery lata... Ha no, co pani chce, nie ma już dzieci!...

Przerwała na chwilę, aby bez żadnych przejść zmienić temat, kontynuować:

— Moja biedna dziecino, pozwól pani sobie przypomnieć, że trzeba pozałatwiać pewne formalności, zgłosić to, co się stało, w merostwie, zamówić pogrzeb. Stan pani nie pozwala naturalnie na zajęcie się tym wszystkim. Co do mojej osoby znów — nie chciałabym pani zostawiać samej... Otóż jeżeliby nie miała nic przeciwko temu, poszłabym zajrzeć, czy pan Simoneau jest u siebie!

Małgorzata nie dała na to żadnej odpowiedzi. Wszystkiemu temu towarzyszyłem słuchem jakby z bardzo daleka. Zdało mi się chwilami, że się unoszę niby płomyk jakiś, nadzwyczaj subtelny, w powietrzu, wypełniającym pokój, podczas kiedy ktoś inny, bezkształtna masa jakaś, bezwładnie spoczywa na mym łóżku. Swoją drogą byłbym wolał, aby Małgorzata od razu odrzuciła usługi tego Simoneau. Widziałem go trzy czy cztery razy wszystkiego w czasie mej krótkiej słabości. Zajmował jeden z sąsiednich pokoi. Był nadzwyczaj usłużny. Pani Gabin opowiadała nam, że bawi on w Paryżu tylko w przejeździe celem ściągnięcia kilku wierzytelności po swoim ojcu, który wycofał się w swoim czasie z interesów na prowincję, zmarł niedawno. Był to młody człowiek słusznego wzrostu, bardzo przystojny, silnie zbudowany. Nienawidziłem go, prawdopodobnie dlatego, że był taki piękny. Kiedy wczoraj wieczorem wstąpił do nas na chwilę, widok tego junaka u boku Małgorzaty sprawił mi formalne cierpienie! Ona była przy nim taka ładna, taka bielutka!

A on wpatrzył się w nią tak głęboko, kiedy do niego mówiła uśmiechnęta, że bardzo jest łaskaw, zadając sobie trud dowiadывania się o moje zdrowie.

— Otóż i pan Simoneau — szepnęła pani Gabin, wchodząc. Lekko otworzył drzwi, a Małgorzata na jego widok nowym wybuchnęła płaczem. Pojawienie się jedynej znajomej osoby w Paryżu wskrzesiło w niej przygasły ból. Nie starał się jej wcale pocieszać. Nie mogąc go widzieć w otaczającym mnie mroku, wywoływałem w duchu widok jego twarzy, którą rozpacz biednej kobiety zasępiła smutkiem. A jaka ona musiała

być w owej chwili piękna, z rozpuszczonymi blond włosami, z swym bladym liczkiem, z tymi najdroższymi dla mnie na całym świecie rączkami dziecka, rozpalonymi gorączką.

— Jestem na pani usługi — szepnął Simoneau — i jeżeli pani tylko zechce zdać się ze wszystkim na mnie...

Odpowiedziała mu jakimś urwanym słówkiem... Ponieważ jednak młody człowiek zabierał się do odejścia, pani Gobin zbliżyła się doń i poczęła coś szeptać; w chwili gdy przechodzili koło mnie, usłyszałem, że poruszyła kwestię wydatków. Są to rzeczy bardzo kosztowne, a bała się, że biedne kobietątko jest bez grosza. Na wszelki sposób trzeba jej będzie zapytać. Lecz Simoneau prosił staruszkę, aby nie udręczała Małgorzaty dotykaniem tej sprawy w takiej chwili. Powiedział, że idzie zaraz do mera i że zamówi pogrzeb.

Gdy znów zapanowało milczenie, zapytałem sam siebie, czy długo jeszcze ta zmora będzie trwać. Żyłem — skoro najdrobniejsze fakty w świecie zewnętrznym dochodziły mej świadomości. Mogłem sobie również zdawać sprawę z mego stanu. Musiał tedy u mnie zachodzić przypadek katalepsji, o jakich słyszałem nieraz. Jeszcze w dzieciństwie, w epoce mojej ciężkiej choroby nerwowej, zdarzało ni się niejednokrotnie zapadać w omdlenia, trwające po kilka godzin. Taki sam to kryzys widocznie pogrążył mnie teraz w zdrętwieniu, jakby pozbawił życia, wywierając toż samo wrażenie na mych bliskich. Serce jednak odzyszcze po pewnym czasie normalną siłę tętna, krew zacznie po dawnemu krążyć w obwisłych mięśniach a wówczas, ocknąwszy się, utulę Małgosię. Rezonując w duchu w podobny sposób, napominałem się usilnie do cierpliwości.

Godziny tymczasem mijały, pani Gabin przyniosła śniadanie. Małgorzata odtrąciła jednak wszelki posiłek. Zeszło i popołudnie. Otwartym oknem wpadał z ulicy Dauphiné straszliwy huk stołecznej ruchawki. Po lekkim dźwięku mosiądzu na marmurowej tafli nachtkastlika domyśliłem się, że w lichtarzu muszą zmieniać świecę. Na koniec zjawił się Simoneau.

— I cóż — zapytała staruszka półgłosem.

— Wszystko załatwione — odparł. — Pogrzeb odbędzie się jutro o jedenastej. Nie kłopotz się pani o nic i nie poruszaj wcale tych rzeczy wobec tej biednej kobiety.

Pani Gabin ozwała się mimo tej uwagi:

— Lekarz od umarłych jeszcze nie był stwierdzić zgonu.

Simoneau poszedł usiąść przy Małgorzacie, dodawał jej odwagi, w końcu zamilkł. Pogrzeb nazajutrz o jedenastej — słowa te brzmiały jak dzwon cmentarny w mojej czaszce. A ten lekarz, którego dotąd nie było widać, ten lekarz od umarłych! jak go nazwała pani Gabin... Ale spostrzeże on oczywiście natychmiast, że jestem po prostu w letargu, zrobi co należy, i będzie wiedział, jak mnie przebudzić. Czekałem na niego z straszliwą niecierpliwością.

Tymczasem dzień zbiegł. Pani Gabin aby nie tracić czasu, przyniosła od siebie do nas swoje abażury, a nawet, uzyskawszy zezwolenie Małgorzaty, przywołała Dédé, ponieważ nie lubiła dzieci długo zostawiać samych.

— Dédé, chodź tutaj — szepnęła, biorąc dziewczynkę za rękę — a nie próbuj udawać głuptasa, proszę cię, i nie patrz mi w tamtą stronę, bo będziemy miały z sobą do pogadania.

Zabroniła jej patrzeć na mnie, znajdując, że to nie wypada. Dédé musiała jednak z pewnością pomimo tego zerkać od czasu do czasu w moją stronę, słyszałem bowiem, jak jej matka wymierzała klapsy. Wołała przy tym z furią:

— Patrz roboty, albo ci każę wyjść. Pamiętaj, że tej nocy pan przyjdzie cię straszyć.

Obie, matka i córka, rozgospodarowały się na dobre na naszym stole, dźwięk nożyczek, którymi wycinały abażury, dolaływał mych uszu wyraźnie. Te, nad którymi pracowały w danej chwili, musiały mieć wzór delikatny i wymagający roboty skomplikowanej, postępowała ona bowiem powoli; poczęłem rachować cięcia, by czymś zagłuszyć rosnące me obawy.

W pokoju zaś nie było nic słyhać prócz szczęku nożyczek. Małgorzata musiała się zdrzemnąć zmożona znużeniem. Si-

moneau powstał dwa razy. Okropna myśl, że gotów on może korzystać z snu Małgorzaty, by dotknąć ustami jej włosów, stała się dla mnie męczarnią. Nie znałem tego człowieka, czułem jednak, że zakochał się w mojej żonie. Wtem śmiech małej Dédé pobudził mnie do gniewu.

— Czego ty się śmiejesz, głupia — ofuknęła ją matka. — Ej, każę ci stać w kącie! Dalej!... mów, czemu się śmiałaś?!

Dzieciak zaczął kręcić: ona się nie śmiała, kaszlnęła tylko. Mnie jednak przemknęło przez głowę, że musiała pewno zobaczyć, jak Simoneau nachylał się ku włosom Małgorzaty, i to ją rozśmieszyło.

Zapalono lampę. Wtem rozległo się pukanie.

— Ach! otóż i pan konsyliarz — ozwała się stara kobieta.

Był to lekarz w rzeczy samej. Nie tłumaczył się wcale z tak spóźnionego przybycia. Musiał zapewne zrobić niemało pięt w ciągu dnia. Lampa widocznie bardzo słabo oświetlała pokój, bo zapytał:

— Czy ciało jest tu?

— Tak, panie — odrzekł Simoneau. Małgorzata podniosła się. Pani Gabin kazała wyjść Dédé, gdyż dziecko nie potrzebuje być obecnym przy takich rzeczach, następnie zaś usiłowała odprowadzić moją żonę pod okno, aby jej oszczędzić przykrej sceny.

— Czy może poświecić panu lampą? — zapyta! Simoneau uprzejmie lekarza.

— Nie, to zbyt bezczelne — odrzekł tamten.

— Co?!... Zbyt bezczelne?!... Ten człowiek miał życie moje w swych rękach i uważał za rzecz zbyt bezczelną przedsięwziąć dokładne badanie?!... Ależ ja nie byłem umarłym! — chciałem wniebogłose krzyknąć, że umarłym nie jestem!

— O której godzinie zmarł? — zapytał.

— O szóstej rano — odparł Simoneau.

Wściekły bunt podniósł się we mnie w spętaniu straszliwych więzów, co pozbawiły mnie władz wszystkich. Ach! nie

móc się odezwać!... nie być w stanie uczynić jednego ruchu w podobnym położeniu!...

Lekarz dodał:

— To ciężkie powietrze, jakie mamy obecnie, nie wiele jest warte... Nic bardziej nużącego niżeli pierwsze dni wiosny...

I poszedł!... z nim razem moje życie... Łzy, wołania, przekleństwa dusiły mnie, rozdzierały me gardło w konwulsjach, z którego ani jedno westchnienie nie było w stanie się wydobyć... Och! nędznik, którego zawodowa rutyna przemieniła w maszynę, zbliżającą się do posiania zmarłych z myślą o jak najszybszym dopełnieniu jedynie urzędowej formułki!... Człowiek ten zatem nic nie umiał!... Cała jego wiedza kłamstwem była! skoro nie potrafił jednym rzutem oku rozróżnić życia od śmierci. I poszedł!... poszedł!...

— Dobranoc, panie doktorze — żegnał go Simoneau.

Zapanowało milczenie. Lekarz skłonił się Małgorzacie, która wróciła od okna, a pani Gabin zamykała je tymczasem. Wreszcie wyszedł z pokoju, a z schodów doleciały mnie jeszcze jego kroki.

Skończyło się więc!... wyrok nade mną zapadł. Ostatnia moja nadzieja znikła wraz z tym człowiekiem. Jeśli się nie obudzę jutro do godziny jedenastej — zakopią mnie żywcem. Była to myśl tak straszna, że pozbawiła mnie na chwilę zupełnie świadomości tego, co się naokół działo. Było to jakby ostateczne onieprzytomnienie samej już śmierci. Ostatnim, jaki jeszcze doszedł mych uszu, dźwiękiem, był zgrzyt nożyczek pani Gabin i małej Dédé. Zaczęła się noc żalobna. Nikt się nie odzywał. Małgorzata nie chciała iść spać do pokoju pani Gabin. Zdało mi się, że ją widzę, jak siedzi w na pół leżącej postawie w głębi fotelu, a łzy perlą się na rzęsach w półprzymkniętych oczu pośród jej bladej twarzyczki, w którą Simoneau, siedząc w cieniu naprzeciw niej, wpatruje się milcząc.

III.

Nie potrafię opisać, jakie męki konania przeszedłem następnego ranka. Pozostało to wszystko dla mej pamięci jakby zmorą okropnego snu, w którym odbierane przeze mnie wrażenia tak były zamglone i osobliwe, że ich dokładne odmalowanie przyszłoby mi z trudnością. Co męki moje czyniło okrutnymi nad wyraz, to nieustająca nadzieja nagłego przebudzenia. W miarę zaś, jak się zbliżała godzina pogrzebu, strach mój poczynał mnie dławić po prostu!...

Dopiero z rana odzyskałem świadomość otaczających mnie osób i rzeczy. Trzask otwieranego okna zbudził mnie ze snu. To pani Gabin chciała do pokoju wpuścić trochę świeżego powietrza. Musiało być około siódmej, bo słychać było wołania przekupniów na ulicy, jakie poprzednich dni dolatywały mnie zawsze o tej porze. W pierwszej chwili zgiełkliwe budzenie się Paryża uspokoiło mnie. Wydało mi się niepodobieństwem, aby mnie miano zagrzebać w ziemi pośród takiego wrzasku życia. Pewne przypomnienie uspokoiło me obawy do reszty. Spotkałem się już był raz z podobnym memu przypadkiem, będąc urzędnikiem w szpitalu Guerande. Jakiś mężczyzna leżał całe dwadzieścia cztery godzin pogrążony w śnie tak głębokim, że lekarze nie mieli odwagi stanowczo orzec, czy to letarg, czy śmierć. Wtem śpiący podniósł się, usiadł na poscieli i bez żadnego wysiłku był w stanie wstać. Co do mnie — sen mój trwał już godzin dwadzieścia pięć. Jeżeli się przebudzę około dziesiątej, nie będzie za późno jeszcze.

Próbowałem zdać sobie sprawę z tego, kto jest w pokoju i co się w nim dzieje. Mała Dédé musiała się znajdować na korytarzu, bo za otwarciem drzwi jej śmiech dziecięcy doleciał z zewnątrz. Pana Simoneau według wszelkiego prawdopodobieństwa nie było jeszcze, żaden odgłos bowiem nie zdradzał przede mną jego obecności. Tylko człapaki pani Gabin suwały się w różne strony po podłodze. Na koniec dał się słyszeć głos ludzki:

— Moja kochana pani — odezwała się stara — źle pani robi, że pani nie pije, póki gorąca, bo toby panią bardzo pokrzepiło.

Słowa te zwrócone były oczywiście do Małgorzaty, a cichy, perlisty plusk kropel na kominku objaśnił mnie, że staruszka gotuje kawę.

— Nie mówię wcale, aby gadać — ciągnęła dalej — ale i ja się potrzebowałam pokrzepić... W moim wieku bez tego ani rusz, a cóż dopiero, kiedy trzeba noc całą przesiedzieć... Kiedy w domu jest nieszczęście, to tak czegoś w nocy smutno... No napijże się pani kawy, moja kochasiu, tylko kropelkę...

I przymusiła Małgorzatę do wypicia filiżanki.

— A co?... Jakie rozgrzewające!... Prawda?... To panią na nogi postawi. Pani potrzeba sił, żeby dociągnąć do wieczora... A teraz jeżeli paniusia jest naprawdę grzeczna, to pójdzie do mego pokoju i tam będzie czekać...

— Nie; pozostanę tu — odparła Małgorzata rezolutnie.

Głos jej, którego dźwięku nie słyszałem od wczoraj, poruszył mnie żywo. Był jakiś zmieniony, złamany przez ból. Ach! kobieciątko moje kochane!... Poczucie, że jest przy mnie, było mi pociechą najwyższą. Wiedziałem, że nie odwraca ode mnie oczu, że oplakuje mnie wszystkimi łzami swego serca.

Minuty jednak biegły. Za drzwiami rozległ się łoskot, którego nie umiałem sobie w pierwszej chwili wytłumaczyć. Rzekłbyś: przenoszenie jakiegoś dużego sprzętu, objającego się po drodze o ściany schodów zbyt ciasnych. Wnet jednak zrozumiałem, posłyszawszy nowy wybuch płaczu Małgorzaty. Była to trumna.

— Za wcześnie przyszlście — odezwała się pani Gabin tonem gderliwym. — Postawcie to tam, za łóżkiem.

Któraż więc była godzina?... Dziewiąta zapewne... A trumna była już na miejscu... I oto widziałem ją myślą wśród czarnego mroku: nowiutką, z ledwo ociosanych desek... Mój Boże!... Więc koniec ten był nieunikniony?... wyniosą mnie w owej skrzyni, którą tam czuję u mych stóp?...

Wtem spłynęła na mnie ostatnia już, jakiej spodziewać się mogłem, radość. Małgorzata, mimo swego osłabienia, postanowiła mi sama oddać ostatnie usługi... Sama, z pomocą starej, poczęła ranie ubierać, okazując mi przy tym czułą troskliwość małżonki i siostry. Ilekroć oblekała mnie w jakąś część ubioru, czułem, że jestem raz jeszcze w jej ramionach. Przerwała wreszcie tę robotę, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, i podchwyciwszy mnie w objęcia, oblała mnie łzami, ściskając. Czegoż bym nie dał, by móc odwzajemnić jej uścisk i krzyknąć: — „Ja żyję!...” — pozostałem jednak bezwładny, powolny wszystkiemu, co ze mną robić chciano, jak kłoda bez życia.

— Źle pani robi... to wszystko na stracenie... — zwracała jej uwagę pani Gabin.

— Pozwól pani... Chcę go ustroić w to, co mamy najpiękniejszego...

Domyśliłem się, że mnie pewno ubiera jak niegdyś do naszego ślubu. Posiadałem jeszcze te suknie, miały mi one w Paryżu służyć tylko na wielkie święta. W końcu jednak padła na fotel wyczerpana wysiłkiem.

W tej chwili dał się słyszeć głos pana Simoneau. Musiał wejść co tylko.

— Są na dole — szepnął do naszej sąsiadki. — Dobrze, w samą porę — odparła pani Gabin zniżonym również głosem. — Zawołaj ich pan, czas skończyć.

— Boję się wybuchu żalu tej biedaczki... — znów szepnął.

Stara jakby się namyślała przez chwilę, aż rzekła:

— Słuchaj no pan, panie Simoneau, musi ją pan, choćby przemocą, do mego pokoju zaprowadzić... Ona tutaj nie może pozostać... Oddamy jej tym tylko przysługę... Tymczasem ludzie się tu załatwią raz, dwa...

Słowa te ugodziły mnie w samo serce. A cóż się dopiero musiało we mnie dziać, kiedy mnie doleciały odgłosy walki, jaka nastąpiła teraz... Simoneau podszedł ku Małgorzacie, błagając ją, aby opuściła pokój.